

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

Warszawa, dnia 8 stycznia 1916 roku.

№ 2.

Ostatnia powieść Weissenhoffa („Puszcza”).

Można prowadzić oderwane dysputy na temat, czy poeci rodzą się poetami, czy też stają się nimi. Że zbędne są w wiosnie życia utarczki przedwstępne z muzami, aby w wieku dojrzałym „nagiąć miłośnic” formę do treści, przykładów nam nie brak, Weissenhoff, mający już dzisiaj za sobą tradycję swego wielkiego talentu, późno wszedł w szranki pisarskie. Obecnie powieść jego jest poezją o wznagającym się promieniowaniu.

Należy i należeć będzie zawsze do autorów czytanych. Na dłuższą metę lubimy słuchać przedewszystkiem głosu, co mówi o rzeczach, w które wierzy i które kocha. Dla pisarza, lubiącego się w swych tematach, jak Weissenhoff w dzikim pięknie „wszechlasu” litewskiego i w poezji „gry łowieckiej” (prastarej, jak gra Erosa i Psyche i równie jak ona zapamiętałej), powstaje jedna możliwość, niebezpieczna, czy też tryumfalna, że pozostanie on kiedyś autorem jednej książki, ostatniej, którą napisze, bo z roku na rok talent jego wyposaża w bogatsze kształty wybraną treść.

W ostatniej powieści Weissenhoffa puszcza, to główna „narrationis persona”. Jest ona jakby skarbnicą wielkich tajemnic bytu na ziemi i nieświadomym przewodnikiem odwiecznej mądrości życiowej, którą przeciwstawić można chorobliwym zabiegom cywilizacyjnym. Jej potęga i ciągłość jej zadań w życiu ogólnem przygniata wszystkich i wszystko, co nią nie jest, i tych, którzy odbiegli ku uludom chwilowym i przemijającym. Nie ludzie przeto, a ona, ta życiodajna puszcza, pociąga ku sobie wyobraźnię poety i za jej sprawą przesuwa się na kartach książki Weissenhoffa dziwy natury w opisach tak doskonalych, że wo-

bec nich błędna starsze stronice siostrzane z „Sobola i Panny”. Ku niej stare dęby „przyjaciele i sąsiady siedzib ludzkich”, kierują swe zadrosne, a może zalotne poszmery, ku tej puszczy, w głąb cofniętej, tajemniczej dla nie żytego z nią bytu. Ona potrafi odprężyć grozę „powikłanych namiętności ludzkich” i napoić skołataną pierś dobrobytem. Ona może, choćby przez pieśń miłosną swych skrzydlatych mieszkańców, stworzyć i dla ludzi „formułę nowej, z niczem nie porównanej rozkoszy”. Lecz człowiek, niebaczny na to, że po „okresie radosnego święta życia” w puszczy następuje okres „mądrego przywykania do śmierci”, niebaczny na to, że miłką głuszcze na tokach i kończy się ryk łosj po lasach, — ten samowolny i przeniwierzcy człowiek sprawia „zgiełk i zamęt w przyrodzie” i ściga „swe upragnienia wbrew jej wieczystym kanonom”.

Za sprawą puszczy mógł powstać taki nie przemijający typ „ochotnika”, rozmiłowanego w myślistwie i w poufałym a mądrym obcowaniu z naturą, jak jest Weissenhoffowski leśnik—Moroz. Ludzie prości, panice i panienki, z którymi się styka, — wszyscy cieszą się jego względami o tyle tylko, o ile czują pociąg do „misteriów” puszczy, o ile sprawia nań wrażenie, że dla tej wielkiej czarownicy zapomnieć gotowi o wszystkim, co się z nią nie wiąże. Dla niego zaś te obcym niedostępne tajniki puszczy i jej mieszkańców nie istnieją: „bąkanie” i „telekanie” głuszcza, wszelkie wykręty starego łajdaka-lisa z prezorną i grzeszną mordą, chytrych drapieżnego rysia, co jak liszką do drzewa się przylepi, ryk miłosny łosia i jelenia, a nawet świegot szarego gminu ptasiego — wszystko to

stary Moroz rozumie i zna równie dobrze, jak najniebezpieczniejsze moczary i zasadzki swej ukochanej puszczy. I kiedy po życiu pracowitem, które spędził „służąc ojcom do rycerskich zabaw, — a nakłaniając synów do trwania przy ojcowiznie”, już więcej „zdolać” nie może i czas mu umierać, wtedy jeszcze w wizji przedśmiertnej wydaje mu się, że jego Morozowa dusza gra w jakimś śmiertelnym głuszcze, co na krzyżu usiadł, pławiąc się w świetle księżyca:

„A głuszcze-poganin śpiewał „tylko o radości życia w wybuchu „wiosny i w zachwycie kochania. „Choć wziął w siebie ludzką duszę, nie pamiętał nauk o życiu „zaziemskim; wielbił tylko chwilę „rozkoszy, zapominał o jej następstwach. A może przeczuwał, „że wiek człowieka, czy ptaka, nie „przepada dla wszechżycia — i „czekał odważnie szczytnej chwili „umierania, chwili przemiany”.

A las szumił dalej, tak jak niegdyś dla panny z sobolem. „na cześć dzikiego życia”, na cześć wolnej wędrowni wiatru. W nim jest „wieczność zadumy nad sprawami ważnemi, jak wschód i zachód, ciepło i zimno, głód i pożywienie, dobór miłosny par młodych i śmierć stabszych dla odrodzenia się w silniejszych tworach”. On śpiewa pieśń zapomnienia i ukojenia, i z tej melopei leśnej wykwiła jakiejś „nienazwane pokrewieństwo” pomiędzy człowiekiem-poetą a resztą przyrody. W ten sposób stać się może, że postacie i opisy poety żyją niezawodną siłą i pięknem życia. Tak pod technieniem boskiej Anadyomeny ożyła wykochana przez Pigmaliona marmurowa Galatea.

Puszcza nietylko ku sobie ciągnie: między ludźmi, którzy ją zrozumieją i czarowi jej ulegli, wytwarza związek; tak silne, że i wszechwładna Cypryda, przez Erosa sekundowana, nie mogłaby przemysłnie marzyć o

większych tryumfach spolenia. Ludzie ci, pokolenie liliputów, troszczących się o sprawy nikłe, obchodzą Weyssenhoffa pod warunkiem, że odezwą się w nich znowu „zdrowe prawicze popędy“, że ogarnie ich „dzika i dobroczynna swą mocą“ i do siebie przykuje ziemia-puszcza. Ona zwabiła ku sobie znarowionego młodego chłopaka, który gdzieś, po za wioską ojcowską, pędził „ośleństwo“ młodości i gorzkie pocałunki kobiety pierwszym rozklekotaniem nerwowem przyplacił. „Bestya kobieca“ o stylizowanej rozkoszy była niebezpieczna przez „ogień, który zdawał się ją trawić wewnątrz, a błyskać przez oczy, przez zęby, węglić się na włosach, różowieć na wypukłościach, śniedzić na zaklęśnięciach...“ Lecz syrena kosmopolityczna spotkała dwie silniejsze od siebie przeciwniczki: rozmiłował się młodzik

i w puszczy dziedzinnej; w paniencie ze dworu nadpuszczańskiego. Panienska była z tego typu kobiet, które są „szczęśliwie urodzone“, niezależnie od tego, kto je rodzi. Że wśród polek częściej, niż wśród obcych, spotkać można taką „piękność szczęśliwie urodzoną“, która dać może „pewność szczęścia, pomoc i pogodę w życiu“, wiemy wszyscy. Lecz Weyssenhoff, pod wpływem „wielkiej mistrzyni-prostoty“, szczególnie powabnie kształtuje te jasne postacie kobiece i po Warszawce z „Sobola i Panny“ wysubtelizował Renię z „Puszczy“, — mleczne siostry z chaty i ze dworu. Każda z nich pocałunek grzechem nazywa i każda mogłaby być „towarzystwą dnia i ozdobą nocy“, — i mogłaby dać szczęście człowiekowi kochanemu. Paniencie z chaty nie poszczęściło się i sprawę wygrał jeśli nie so-

ból, to w każdym razie zdradliwy zmysł użycia, co mężczyźni ku nimfom i nimfeczkom (z pocztu Dyany) w zarośla kieruje. Warszulka przez niekochanego Trembela stanie się matką dumnego rodu chłopskiego, a panienska ze dworu dostała swego kochającego i kochanego panicza i poszła z nim na dobrą dolę „w blasku swej szczerej piękności i w powadze czystej duszy“.

Zakochani Weyssenhoffa są, więcej jeszcze, niż inni, w stanie laski — otworzyli oczy na wielką prawdę życia i zauważyli rzeczy, które widzą tylko wybrani. Wątpić nie mogą w to, co ich zachwyca, ani w cel upragniony. Spokój i pogoda jest treścią właściwą tęsknoty ludzkiej i dlatego uśmiechnięty epikureizm Weyssenhoffa zawsze na zwolenników liczyć może.

August Popławski.

JÓZEF JANKOWSKI.

Poległym cześć!

(WIOSNA 1915).

*Jeżeli czczą was, bohaterzy,
Tam w szale walki, w krwį ukropie,
Gdzie dusza na niepomyślnym tropie,
I w ogniu swej żywiołnej sfery
Goni okrutnej szlak chimery:
To jakże uczcić ciebie, szczerzy
I duchem twardy, polski chłopie,
Za twoje trzeźwe bohaterstwo,
Za twoją duszę pomną, czerstwą,
I za śmierć twoją przy okopie
Ziemi twej — w pracy rak twych cichej,
Mierzącej w rolę płodne sztychy?...*

*Armatą twoją był ci pług,
A wodzem twoim — Bóg, —
A zawołaniem twojem — serce,
W krwawej pławiące się rozterce,
Że nieuprawna pod kulami
Ta matka, którą wróg ci plami, —
A czynem twoim — wyjście świtem
Na rolę — z sercem tem — z granitem
Obowiązkowej twojej toni —
I śmierć tam — z pługiem w dłoni.*

*Leżysz tam w niej dziś, gospodarzu,
Jako święcona rzecz w otarzu, —
Jako miłości wyraz tkliwej,
Leżysz tam godny, sprawiedliwy,
I dzisiaj jeszcze kośćmi swemi
Bronisz jej — syn tej ziemi.*

*Nie spadnie na cię, mój bezcenny
Chłopie, wojennej krzyż zasługi,
Imienia twego w chwalebnej długiej
Rycerski poczet nie rozdzwoni —
I nie wymieni rozkaz dzienny
Ni czynu, ni twej broni.*

*Ale o tobie wieść już w niebo
Krwia poszła z rozplakaną glebą,
Ale na grób twój bezimienny
Droższa od chwaty szumnej grodu,
Droższa od kruszców tego świata,
Cicha upadnie łzą narodu —
I w twą mogiłę zakolata
Poeta lutnią — zbudzi cienie
I najlepszego w tobie brata
Uczcij w swym śpiewnym trenie.*

*Rankiem Mateusz Cichoń z chaty
Wyszedł na szarość dnia poświaty —
I wraz do pługa wprzągnął chudzinę
Szkapę — z dobytku dziś jedyne
Dobro do pracy i ratunku
Po rekwizycjach i rabunku.*

*Wyjechał z płotków — pojrzał wzrokiem
I znów mu serce krwawym mrokiem
Zaszło bezradnie. — Dookoła,
Jak tylko oko sięgnąć zdoła,
Miał dawniej krasy, krasy siota,
Step głuchy, zgłiszcza i perzyna,
Jak jakichś strasznych mar kraina,
Ziemia wskrós zryta okopami —
Pustka — nic głosem nie zamami —
Lasek poblizki w strzepach leży —
Kościółek wdałi zmilki — bez wieży,
A z wiosek wkoło we mgłę sinej
Sterczą upiornem złem kominy.*

*Jakże tu patrzeć sercem krwawem,
Gdy ból, jak nożem ostrym struga?
Odżonał chyłkiem łzę rekawem,
Scisnął rękojeść mocniej pługa
I już nie patrząc, ruszył w pole.*

Od drogi wbił żelazce w rolę.

*I oto wraz pod sprawnym pługiem
Ziemia, czekaniem zżarta długiem,
Z prawej mu strony odwalila
Zraz tęgi — i już w bryłę bryła
I plaster w plaster skiba rada,
Jak służebnica się rozkłada —
A jako oddech wolny tona,
Tak osypuje się wzruszona.*

*Wionął od ziemi zapach żyzny
Wilgotnej mocnej surowizny —
I zaraz chłopu, jak w kościele
Miech organowy na wesele,
Pierś wzrosła w pasy uroczystej;
Więc głębiej jeszcze pług kończysty
Zanurzył w pokład tłusty, gruby,
Jakgdyby z nią zawierat śluby
I „moja-ś” szeptał w drżącce lubej —
I już też ku niej tchnień nawala
Ognistą przypadł władnie, śmiado.*

*Pulchni się rola, tchem się parzy,
A ziemia mu pod pługiem gwarzy:*

*— Nie trap się, chłopie! Póki Boga
Na niebie, póki mnie i ciebie
Na ziemi, zbędna żywym trwoga —
Żadna nas siła nie pogrzebie.*

*Z perzyny, która mnie wyścięła,
Nowego życia wzejdą dzieła, —
Z krwi, która mnie tak suto zrasza,
Wyrośnie, chłopie, wolność nasza.*

*Znów zazieleni się nam błonie,
Zakwitną grusze i jabłonie,
I zabieleje w słońcu ściana:
Powstanie Polska murowana.*

*Przez duże okna światło wpłynie,
Obrazy święte i twe skrzynie
Już nowym blaskiem swym poproszy —
I światło wpłynie do twej duszy.*

*Koleją tadu, ochędóstwa,
Dźwigniesz się z doli i z ubóstwa,
Miodami zalśni twa pasieka,
Odnajdziesz godność swą — człowieka.*

*Po szczeblach pójdziesz wzwyż oświaty
Na narodowej myśli czaty,
Powstaną z ciebie wojewody
Na życia trud, na życia gody.*

*Duszę zachowasz swą piastową,
Ale w nią włożysz sprężność nową —
I będziesz chodził w zacnych radzie
Sprawiedliwości ku zasadzie.*

*Nie trap się, chłopie! Przez ofiary
Idzie zmartwychwstań dzień już jary:
Szczęśliw, kto krwią i trudem łoży
Na przyspieszenie wolnej zorzy.*

*„Abo i prawda!” — chłop dopowie
Ciepłych swych uczuć mglistej mowie:
„Mocny ci wróg ten i najmściwszy —
Ale Pan Jezus miłościwszy.
Wio, siwy!”.*

*Rychle szlak ze szlakiem,
Już w przeoraniu siedmiorakiem
Spulchniony razem, od szarzyzny
Odciał się warstwą gleby żyznej —
I już z stron obu obrzeżony
Brózdami głębiej (dla ochrony
Od deszczów), w brytkach rozestany,
Zagon na schwał uszykowany:*

*Niby pościątka pulchna, świeża
Wiecznego rolnych spraw przymierza:
Pościątka, lube powołanie,
Nadziejom słodkim na schowanie
I obsiewkowi na wzrastanie.*

*Rźnie pług nawrotem. A tymczasem
I promieniste ponad lasem
Słońce ognistą swoją bryłą
Już się jarzące wytoczyło.*

*Idzie niezłomne swoją drogą,
Tak chłopu świecąc zapomoga:*

*„Ty skibę swoją tam na ziemi
Orzesz, a tutaj na przestworze
Niebieskim ja też skibę orzę
Wotkamij memi promiennemi.*

*Obacz no, czyli kiedy chybię:
Czy pokój ścięle się mej skibie,
Czy chmury groźne przeciw staną,
Ja ciągle pełnię, co kazano.*

*Czyli na ziemi krwią, zawieją,
Żywioly wznęcać się, szaleją,
Ja, choć-em król, wciąż w służbie chodzę,
Ani przystanę na mej drodze.*

*I ty za światłem chodź w mozołe,
A duszą całą grzej swą rolę:
Wynijdiesz wierę z życia nocy
I będziesz plużył, jak ja, w mocy“.*

*Serce już w chłopie zorzą złotą
Rozłsnione... Wzniesie wzrok, a oto:
Skowroneczek ku niebu w górze polatuje
I garleczkiem krzykliwym wdzięcznie przepieruje:*)*

*„Świt, świt, świt, świt — ode stropu
Świegocący wieści chłopu —
I ja rolnik: w nieba toni
Skibka moja piosnkę roni —
Trudy twoje, krwawą rosę
Panu Bogu przed tron niosę —
Pan Bóg w księdze swej je pisze
Na twe gody, na twą ciszę —
Po dniach nocy i zamieci
Świt, świt świetny ci rozświeci“.*

*I już w nieba utonął lśnieniach niewidzialny,
Świegocącym dzwoneczkiem — ledwo dostyszalny.*

Dokończenie nastąpi.

*) Dwa te wiersze — z Sielanki (103) Szymona Szymonowicza (1557—1629).

Dzieje jednego pocisku.

21

Przez sporą chwilę jeszcze było w izbie cicho po tem czytaniu. Przez sporą chwilę trwali ludzie w skupionem milczeniu, jakgdyby chcieli uczcić poległego towarzysza, którego głos przyszedł do nich z za grobu, z tamtego świata.

Pierwszy Knoblak westchnął ciężko i odezwał się głosem wzruszonym:

— Wieczne odpoczywanie racz mu dać. Panie... A światłość wiekui-sta niechaj mu świeci... Niechże ta bomba ozerwie na znak, kogo należy, za te jego śmierć niewinną!

Tymczasem na progu ciemnej izby stanął gruby, nieduży człek i wolnusiętko, jakby się skradając, szedł do stołu. Stawał, przyglądał się, przygarbiony, zaczajony, oczy sobie od blasku lampki osłaniał — a nikt nie mógł wyrozumieć, o co tu idzie.

— Walek? Cóż ty takiego wyrabiasz?

Ale chłop w jednej chwili rzucił się na Knoblaka, obalił go razem ze stołkiem, ucapił za ramiona i zaczął tłuc łbem o podłogę, aż się rozległo.

Oderwali go wreszcie. Powypadałi wszyscy z drugiej izby i wszyscy razem zaczęli gadać. Figiszewski zbliadł i wstał na równe nogi. Zdawało mu się, jakby coś zaczynał rozumieć.

Każdy od siebie pytał Walka i ciągnął go do siebie. Chłop nic nie gadał, bo nie mógł wydusić ze siebie słowa, tak był wzburzony. Wreszcie rzucił się z nową zapalczywością na powalonego i w nieludzki sposób dał mu jeszcze dwa razy z rozmachu po głbie. Oderwali go znowu. Wreszcie chłop się opamiętał i zaczął krzyczeć:

— Ten sam jest! To on był z żandarmami u nas w Sierbienicach! On prowadził, on pokazywał! Tego Kielzę Wojtką on wydał! To on mu naboje sprzedawał na jarmarku w Smiglu! Śmierć szpiegowi, judaszowi! Już on stąd żywy nie wyjdzie! A ty jego współnik! — ryknął, rzucając na Figiszewskiego.

Ale już dwóch ludzi trzymało pod pachy delegata „Pięciu mężczyzn“, a przed nim stał Weszycki i mówił spokojnie.

— Stój no, draniu, i pary z ust nie puść, póki nie zacznę pytać. Związać mu ręce! Idź który przed chałupę i pilnuj, żeby kto nie patrzył w okna. Chodź tu, Walek, i gadaj, czy ci się zdaje, czy też jesteś pewny swego, bo o życie dwóch ludzi się rozchodzi!

— On jest. Na głbie miał maskarę, tylko oczy było widać. Jak

do nas do chałupy z rewizją przyszły, maska mu się obsunęła na tę jedną chwilę i zobaczyłem go dobrze! Poznaję go, świadcze się Trójcą świętą i Najświętszym Sakramentem i jako jestem socjalista! Dwa razy ja go w życiu widziałem, ale teraz to już po raz trzeci i ostatni!

— Dajcież i mnie powiedzieć słowo, panowie — zaczął Figiszewski.

— Milcz! Czekaj!

— Tego drugiego drania ja nie znam i na oczy nie widziałem. Niech on się wytłómaczy, poco się wdaje ze szpiclem? Jeżeli on i z nim do nas na prowokację z bombą przyjechały...

— Jutro tu do nas przyjadą z rewizją i na stryk...

— Judasze! Na nas nie zarobicie!

— Żaden stąd żywy nie wyjdzie...

— Złe was na ten handel pokusiło...

— Przyszła wasza godzina...

Z trudem udało się Weszyckiemu zaprowadzić jaki-taki ład. Wreszcie obłano szpicla wodą, usadzono go w kącie na ziemi i wsparto o ścianę. Leżał wciąż z zamkniętymi oczami i dychał ciężko. Figiszewski stał w drugim kącie z rękami związanymi na tyle. Zaczął się sąd.

Figiszewski odpowiadał spokojnym głosem i z godnością.

— Kto ja jestem? Z bandą szlamowiecką jestem stowarzyszony. Nigdy się w politykę nie wdawałem. U nas surowo pilnowano, żeby z partjami nie zadzierać. My mieli swoje interesy. Z bogatych okup my brali. Naczelnik powiatu nam płaci, naczelnik żandarmski płaci, kapitan płaci, rejent i doktor płacą. Płacą dziedzi-ce w okolicy raz w miesiąc. Wszystkie żydy, kupcy tyż i sam rabin płaci.

— Zaco płacą?

— Za ochronę od bandytów, czyli od nas samych, prawdę powiedziawszy. Ale przy nas na gościńcach jest spokój. Żadnego my chłop ani ubogiego nie ukrzywdzili. Bogatych my podbieramy, bo takie mamy przekonanie, a krwi ludzkiej na nas aniż też na moich rękach przez całe życie nie było.

— Skąd masz list?

— Z Warszawy żydy przysłały, a skąd onj go wzięli, nie wiem. Tę bańkę z bombą my wykopalj z tego miejsca i chciałem zarobić. Żydowska komuna z Warszawy nam dawała tylko dwadzieścia pięć rubli.

— Gadałeś, że pięćdziesiąt.

— Lgałem, jak przy handlu!

— Tego psa dawno znasz?

— Znam go od dwóch lat, a ani razu tego na niego nie pomyślałem. Złodziej był, to nam było wiadomo, ale on chodził osobno po jarmarkach, po odpustach między chłopami. Proszę panów, my tu wszystko wokoło na pięć mil znamy. Ale tego, że tu są szpicle, my nie wiedzieli, bo na polityczne rzeczy my nie zważali nigdy. A poco ja jego na moje nieszczęście tu ze sobą zabrałem? Bom nie wiedział, jak z wami, partyjnemi gadać, nigdy nie mając z partją do czynienia, a jego my uważali, że jest albolj też bywał w jakiejś partyi, zanim tu przyjechał. Więcej nic nie wiem, aniż nie mam do powiedzenia. Macie mnie w rękach. Ale ja wam powiadam, jakem był koniokrad i jakem jest bandyta — tej podłości ja nie winien!

— Kiedys ty mu powiedział o bombie? Dawno?

— Tu w drodze mu powiedziałem, żeby przy targu pomagał.

— Ej, nie lżyj człowieku, ej, nie lżyj! Daleko sięga nasza partya i długo ona pamięta!

— Zgubisz nas — ale i ciebie nie minie i tych tam twoich!

— Dyabli was tu wezma co do nogi, jak nas zgubicie. Przysłe partya bojowców, co żadnemu nie darują, żebyście na koniec świata pojechali, żebyście się pod ziemię zagrzebali!

Było już koło północy, kiedy Figiszewski i Knoblak wyjeżdżali z cukrowni. Jechali długo w milczeniu, aż spytał Figiszewski.

— Co, żyjesz, bracie?

— Ja sam nie wiem! Coś ty im takiego powiedział, że mnie żywego puścili?

— Ja? To moja rzecz. Mam ja na każdego człowieka swój sposób.

— Gdzieś ty z nim chodź i coście tam gadali tak długo? Przez te półtóry godziny ja wciąż umierałem i ożywałem i znowu umierałem. O, Boże miłosierny! Cóżście gadali, powiadajcie, bo we mnie wszystko się trzęsie.

— O polityce my gadali. Ja ich przekonywałem, żeby komunę założyli bandycką, a oni, żeby przystąpił do nich.

— Ty kpisz, a ja ze strachu umieram!

— I czegoż się teraz boisz?

— Oni tu gdzie jeszcze na mnie napadną! Ratuj mnie, bracie! Aj, aj, tyś się z nimi zmówił!

Figiszewski się śmiał na całe gardło i zacinał konie.

— Głupis ty! Ja ich przekonałem, żeś niewinien! Rozumiesz? Przecie ty niewinien? Prawda? Poco się głupi przyznał? To nie ty wydałeś tego ich bojowca?

— Słuchaj, nie mów tak, bo ja zwaryuję. Nie goń tak, zlituj się, bo mi ta rozbita głowa całkiem pęknie...

Figiszewski się śmiał.

— Knoblak, patrz że tam dale-

ko, widzisz las? Będzie jeszcze z pięć wiorst. Ja sobie myślę, że chyba oni tymczasem naprzód pojechali i tutaj cię zrobią, żeby nie było koło samej cukrowni. Chytre to ścierwy... Żal mi cię, Knoblak, któż za ciebie będzie na jarmarkach o generale Kurowskim opowiadał? A zawsze źleś sobie postąpił, żeś mnie w takie sprawy zamieszał. Mogliby, jakby byli mądrzy, obu nas utrupić. Tobie się należy, ale zaco mnie? Ej, nie minie cię kara za to...

— Puść mnie, ja sobie już pójde. Mnie będzie lepiej samemu. Głowa mnie boli od trzęsienia, Stańcie, Figiszewski, bracie kochany, już ja was proszę...

— Co, tobie już ze łba rozum uciekł? Dziurę ci wybili? Co ty mnie, głupi, po rękach całujesz? Ja nie ksiądz.

— Ja wam bardzo dziękuję, jak samemu Panu Bogu...

— No, no, niema zaco!

— ...I ja się tak boję, oj, jak ja się boję!

— Już nic się nie bój, sprawa załatwiona na fest!

— Ja nie mogę wziąć tego na wiarę, że oni mnie puścili żywego... Pewnie mnie będą jeszcze prześladować, ale mnie mój naczelnik obroni.

— Żeby cię ino twój naczelnik przy tej obronie nie nakrył... Powiem ci prawdę, czemu cię puścili. Dziś u nich wielkie święto, takiego największego patrona, tego dnia nakazane u nich każdemu przebaczyć.

— Ej, nie kpijcież! Jakiego to u nich dzisiaj patrona?

— Świętego Brauninga... Wielki dziś odpust u socyalistów!

Knoblak umilkł. Jechali jeszcze z pół godziny, aż Figiszewski przystanął.

— To jest granica powiatu! Widzisz słup?

— Widzę — ale poco?

— No, to wysiadaj!

— Poco? Ja pobity, ruszyć się nie mogę...

Knoblak trzymał się oburącz półgrabka i dziko patrzył w las, gdzie zdawało się coś poruszać. Nagle zarzął pod lasem o jakie trzy stajania obcy koń.

— Bracie ratuj! Bracie rodzony, ruszajmy!

— Ej, Knoblak, lepiej ci było uczciwie kraść chłopów na jarmarkach a nie mieszać się do polityki. Polityka zdradna rzecz! Złaż, złaż, bracie — jużeśmy zajechali na miejsce. Stąd będziesz miał do nieba ino dwa kroki. Do widzenia na tamtym świecie! Straciłem przez ciebie sto rubli i głowy bez potrzeby nadstawiałem. Wynoś się, bracie, przecieżem ci mówił, że onj tu na ciebie czekają. Toś ty sobie, głupi, myślał, że partyjni taką rzecz tobie darują?

Figiszewski gwizdnął na palcach po zbójceku i czarne postacie ludzkie stanęły przy wozie. Knoblak raz tylko zdążył wrzasnąć, bo zatkali mu

gębę, okrecili mu łeb workiem, ściągnęli z wozu i powlekli w czarny las.

Figiszewski zaciał konie i popędził, aż koła warczały. Gnał tak z godzinę, nie oszczędzając koni, i poprzysięgał sobie raz na zawsze trzymać się od partyj zdaleka, jak od morowej zarazy.

Nie pomogło mu to jednak. W kilka dni potem zaaresztowano jego i szwagra i Symbę Sztera i jeszcze innych sześciu członków organizacji „Pięciu męźnych”. W jednej chwili przysł czar, otaczający potężną bandę. Wszyscy się zdumiali, że mogli tak długo znosić bezprzykładny ucisk. Wszyscy uradowali się w sercach swoich i wynosili pod niebiosa energię prawowitej władzy, która narazie ocknęła się do czynu. Złował bandytów tylko jeden pan Szuba, dzierżawca z Żabiej Woli. Męczeńska śmierć skromnego, ale wiernego sługi tronu była momentem zwrotnym w dziejach powiatu. Ustał uciążliwy i upokarzający podatek, nowy naczelnik straży ziemskiej w porozumieniu z dowódcą siły zbrojnej rozsyłał patroli po całym powiecie, a w okolicy zaczęły się na dobre rozboje po drogach i napady na dwory.

Weszycki, przyjechawszy wieczorem do Warszawy, stanął u swojego wuja, sklepikarza na Starem Mieście, i rozpytywał o nowiny. Wuj niewiele gadał, bo był zajęty rachunkami. Twierdził jednak, że rewolucja już się skończyła i ani się tem nie martwił, ani się z tego nie cieszył.

— Co jest, to jest. Jak ma być, to i będzie. Tu żaden człowiek nie poradzi, ani żadna partya. Samo wszystko na świecie idzie. Nie wiem, jak ci, chłopce, radzić. Moja rada — żebyś się tu trochę zabawił, do teatru sobie poszedł, do cyrku, z tą dziewczyną się zabaw, byle ze zdrową, i zwracaj do domu, pókiś cały. Będziesz się zanadto kręcił, wezmą cię na ulicy...

— Zaco? Ja tu nieznajomy?

— Zaco? Za nic, za samą twoją minę.

— Co słyhać u Józka — mieszka tam, gdzie dawniej?

— Przeniósł się do Ratusza, a stamtąd się wymeldował do fortów!

— Zaco? Przecie on nigdy do niczego nie należał.

— Za to właśnie siedzi, że nie należał. Jednego biorą za to, że był w partyi, a drugiego za to, że nie był. Taka teraz moda.

— A u ciotki Robaczkowej zdrowi wszyscy?

— Zdrowi są, tylko Karolek siedzi na Pawiaku a Władek w Brześciu.

— To nowina? Takie urwisy, a jednak widać coś tam w cichości robiły...

— To robiły, co zawsze; Karo-

lek latał za dziwkami, a Władek się zgrywał. Teraz i za to biorą do uła.

— No, to i wuj chyba wezmą za to, że wuj handluje?

— Wezmą, ale jeszcze nie zaraz. Teraz wybierają innych kupców: mydlarzy, powroźników — do spożywczych jeszcze nie doszli. We wszystkim jest swój porządek!

Od samego rana puścił się Weszycki na miasto. O godzinie dziewiątej już był w pewnym sklepie na Złotej, spytał o „pana Kazimierza” i wymienił umówione hasło: „czy panj Wojdalińska już powróciła z letniego mieszkania”?

Pan Kazimierz, mizerny, mały człowieczek, spojrział nań zmęczonej oczami, uśmiechnął się ironicznie i zapytał:

— Co to ma znaczyć?

— Wy jesteście „Pan Kazimierz”?

— Tak mi jest na imię...

— A więc ja się was pytam: „czy panj Wojdalińska już przyjechała z letniego mieszkania”?

— Już to pan raz powiedział. Nie znam żadnej panj Wojdalińskiej, ale przypuszczam, że chyba nawet i ona wróciła już z letniego mieszkania — przecie to marzec... O co panu właściwie idzie?

— Przecie to u was pod-biuro?

— „Podbiuro”? Co to takiego?

— Wy jesteście „pan Kazimierz”?

— Ja jestem, do wszystkich dyabłów, ale już nim przestałem być od pięciu miesięcy. To wszystko, co mogę powiedzieć.

— Jakto?

— A tak!

— Odłóżcie kpiny na potem, ale ja dzisiaj muszę się widzieć z kimś z „wydziału”.

— Nic a nic nie rozumiem, proszę mi raz dać święty spokój!

— Uważam, że tu coś zmienili i wy mi nie wierzycie. Ja to rozumiem, ale zważcie i wy moje położenie: ja zdaleka, z prowincyi i z ważnym interesem. Z bardzo ważnym! Nie mam żadnego adresu...

— Ja na to nic nie pomogę, bo nie a nic nie rozumiem...

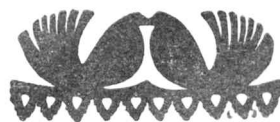
— Dajcież mi choć kogo jednego...

— Niech się szanowny pan uda do panj Wojdalińskiej. Upewniam pana, że już wróciła z letniego mieszkania.

Weszycki stał wściekły i strapiony.

— Choćby pan tu stał do samego wieczora — zaczął spokojnie pan Kazimierz, ale Weszycki zaklął i trzasnął drzwiami za sobą.

Dalszy ciąg nastąpi.



Algebra państwa Anastazostwa.

W zbożnej jednomyślności uradzili państwo Anastazostwo Korabiowie, że tego roku — to jest drugiego okropnej wojny a 1915-go od Narodzenia Chrystusa — gwiazdki urządzić nie będą!

„Jeszcze, podczas Wielkiej Nocy... czasy były trochę lepsze... (jakkolwiek, pieniędzy było trochę więcej, panie dobrodziej!) nie dziw więc, że się święcone jakie-takie wyprawilo... ale co do gwiazdki, to stanowczo obejść się bez niej w tym roku musimy!” — zawyrokował pan Anastazy, a pani Zenobia gorąco ten wyrok poparła.

— Zresztą — dodała — z czego by tu co urządzić, gdzie co kupić, kiedy znikąd nic nie sprowadzą i po sklepach będą zupełnie puste.

— A choćby nawet i po sklepach pustek nie było, to będą one w kieszeniach! — dodał ze swej strony pan Anastazy.

Na dziesięć dni przed świętami pani Anastazowa wróciła z miasta na obiad silnie wzburzona.

— Nigdybym nie sądziła, że na wystawach będzie tego roku tyle bakalii i pierników i — — —

— I win — dyskretnie wtrącił pan Anastazy...

Po chwili zaś dodał:

— Cóż, kiedy świąt tego roku nikt urządzić nie będzie...

— Zapewne — lekliwie poparła pani Zenobia — chociaż, właściwie mówiąc, i kupcy przecież z czegoś żyć muszą — — — dodała po chwili...

Nazajutrz, pan Anastazy, z kolei, wrócił na obiad wzburzony.

— Wyobraź sobie, mam już dwa zaproszenia na śledzia przedwigilijnego i jedno na bridge'a w drugi dzień świąt...

— Trudno, będziemy i my musieli przyjąć, choćby w trzecie święto, bo na pierwsze, właśnie miałam ci powiedzieć, proszą nas do siebie — — — zareplikowała spieszenie pani Zenobia...

Zbożnie westchnąwszy, zdecydowali państwo Korabiowie, że gwiazdka będzie w ich domu obchodzona tego roku, lubo bardzo skromnie...

Podobne wahania poprzedzały i uroczystość sylwestrową, poczem tak samo zdecydowano, że stary rok „będzie się zakończyć” w ich domu, lubo, ma się rozumieć, również bardzo skromnie...

W kwintesencji, skończyło się na tem, że nietylko wigilia była z rybami i winem, ale i z choinką dla dzieci, i z prezentami dla najbliższych, w nowy rok zaś były, jako i co roku, wizyty, poczęstunki i nawet kwiaty dla przyjaciół i życzliwych. I partyjka, i teatr, i fixe w rodzinie... Do Trzech Króli zbiegło — jak z bicia trzask! Pan Anastazy przez bity dwa tygodnie nie rozstawał się z pugilaresem, portmonetki zaś zgola z ręki nie wypuszczał!

Dopiero wieczorem dnia tego, gdy już ostatni goście świąteczni się porozchodzili, zasiadł przy biurku, i przywoławszy uroczystie panią Zenobię, zabrał się do czynienia obywatelskiego rachunku sumienia.

I nie czekając na poparcie i zachętę ze strony pani Anastazowej, pierwszy wyrwał stronicę z bloku i zaczął wypisywać:

Zamiast gwiazdki w r. okropnym 1915 Anastazostwo K. dla najuboższych — rb. 30.

Zamiast prezentów w rodzinie i choinki dla dziatwy A. Korabiowie na powszechne nauczanie — rb. 30.

Zamiast pożegnania okrutnego roku 1915 Anastazy i Zenobia K. na najuboższych rb. 30.

Pani Anastazowa gorącym pocałunkiem przyklasnęła obywatelskiej myśli męża — poczem zbożnie udała się na spoczynek.

Mąż zaś, gdy miał już kłaść do koperty szleszczący nervus uczynionej ofiary, dokonał był jeszcze pewnych poprawek. A więc: w rubryce pierwszej cyfrę 30 przerobił na 20, zaś w drugiej i trzeciej — na piętnaście.

— Będą mieli dosyć — rzekł do siebie...

Natomiast, uzyskaną tą drogą ekonomizację przeznaczył całkowicie na utworzenie nowej pozycji — najkapitałniejszej!

„Zamiast tradycyjnego śledzia w gronie przyjaciół w r. nieszczęsnym 1915 A. K. na głodnych rb. 40”.

Poczem, zakopertowawszy ofiary dobroczynne, wziął się w dalszym ciągu do pracy dla siebie samego. Jakoż, po kilku chwilach, na nowej stroniczce bloku

wyrosla rubryka nie lada-jaka cyfr nie mniej pouczających:

Koszty gwiazdki 1915. . . rb. 105
„ zakończenia tegoż r. rb. 75

Razem. . . rb. 180

Co łącznie z ofiarami, czyni w sumie ogólnej — 270 rb. Wyraźnie: rubli dwieście siedemdziesiąt!

I kopiejek dwadzieścia pięć — dopisał jeszcze po chwili, dołączając w myśli koszt ekspedycji do Kuryerka (przez zaufanego posłańca) koperty dobroczynnej...

Nazajutrz, pierwsza rzecz, udziela p. Anastazy małżonce wiadomości co do uzyskanej cyfry, poczem zapytuje ze szczerą sensacją:

— Powiedz, duszko, skąd ja, panie dobrodziejku, wziąłem tyle pieniędzy w roku okropnym 1915-m?

— Rzeczywiście — powtarza jak echo pani Anastazowa — skąd myśmymy w tym okropnym roku wzięli tyle pieniędzy?... — Fakt przecież, żeśmy tyle wydali! Cyfry są nieomyłne!

Pani Zenobii nagle błyska myśl rozświetlająca:

— A może, mężusiu, za dużo dał na cele dobroczynne?

B. Gorceżyński.

E. L. Voynich.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

B A K.

2

POWIEŚĆ.

Montanelli odwrócił się i popatrzył w gęsty zmierzch magnoliowych gałęzi. Było tak ciemno, że postać jego przybrała jakieś widmowe zarysy w tej pomroce.

— A potem? — zapytał zwolna.

— Potem mama umarła. Ostatnie trzy noce spędziłem przy niej.

Umilkł na chwilę, ale Montanelli nie poruszył się.

— Przez te dwa dni, zanim ją pochowali — ciągnął dalej Artur znużonym głosem — nie mogłem myśleć o niczem. A po pogrzebie rozchorowałem się, jak ci wiadomo, ojeze, i nie mogłem się spowiadać.

— Tak, pamiętam.

— Raz, w nocy wstałem i poszedłem do pokoju matki. Pusty był; tylko wielki krucyfik stał w al-kowie. Pomyślałem wtedy, że może Pan Bóg mnie wysłucha i oświeci. Ukłakłem i czekałem — noc całą. A rano, gdym odzyskał przytomność — Padre, ja tego wytlómaczyć nie mogę. Nie potrafię opowiedzieć, co widziałem, sam dobrze nie zdaję sobie z tego sprawy, ale wiem, że Bóg odpowiedział mi, że nie śniem Mu się sprzeciwiac.

Przez chwilę siedzieli obaj milczący w ciemności; poczem Montanelli położył rękę na ramieniu Artura.

— Synu mój — rzekł — Boże uchwaj, bym ci miał przeczytać, że Wszchemoony przemówił do duszy

twojej. Ale pamiętaj, w jakim byłęś nastroju owej nocy i nie bierz złudzeń żalu lub choroby za Jego najświętsze wezwanie. A jeżeli istotnie podobało się Najwyższemu odpowiedzieć ci z pośród cieniów śmierci, bacz, byś błędnie słów Jego nie tłómaczył sobie. Powiedz mi, co czujesz, co chcesz uczynić?

Artur wstał i odpowiedział zwolna, jakgdyby powtarzając wyuczone słowa:

— Oddać życie za Włochy; dopomódz im do oswobodzenia się, by mogły stać się wolną republiką, nie mającą nad sobą żadnego innego króla, prócz Chrystusa.

— Arturze, pomyśl, co mówisz. Wszak ty nawet włochem nie jesteś!

— To nic nie znaczy; jestem sobą. Widziałem, słyszałem i droga moja wytknięta na życie i śmierć.

Znowu zapadło milczenie.

— Mówiłeś przed chwilą o tem, coby Chrystus powiedział — zaczął Montanelli zwolna, ale Artur przerwał mu:

— Chrystus powiedział: „Kto położy życie dla miłości Mojej, odnajdzie je”.

Montanelli oparł się o drzewo i ręką oczy przysłonił.

— Usiądź na chwilę, mój synu — rzekł wreszcie.

Artur usiadł, a ksiądz ujął obie jego ręce w swoje dłonie.

— Nie mogę argumentować dziś

z tobą — rzekł — spadło to na mnie tak nagle, muszę nad tem pomyśleć, rozważyć... Później porozmawiamy o tem obszernie i wyczerpująco. Teraz, pamiętaj tylko o jednym, proszę cię. Jeżeli spadnie stąd na ciebie nieszczęście... jeżeli zginięsz... rozdrzesz mi duszę...

— Padre!

— Nie; daj mi skończyć. Powiedziałem ci kiedyś, że na całym świecie nie mam nikogo prócz ciebie. Sądzę, że nie rozumiesz dokładnie, co to znaczy. Młodość nigdy tego nie rozumie; i ja w twoim wieku nie byłbym zrozumiał. Arturze — — jesteś dla mnie jakby... jakby moim własnym synem. Pojmujesz to? Jesteś światłem moich oczu, radością mego serca. Oddałbym z ochotą życie, by uchronić cię od fałszywego kroku, który zwichnąć może całą twoją przyszłość. Ale niestety, ja nic uczynić nie mogę. Nie żądam od ciebie żadnych zobowiązań i przyrzeczeń, proszę cię tylko, byś pamiętał o tem i był ostrożnym. Zastanów się dobrze, nim coś nieodwołalnego postanowisz; uczyni to dla mnie, jeżeli nie dla matki twojej w niebiesiech.

— Dobrze, Padre, zastanowię się. Módl się za mnie i za Włochy.

Ukląkł w milczeniu i w milczeniu Montanelli położył rękę na jego głowie. W chwilę potem Artur powstał, ucałował rękę księdza i odszedł, stąpając cicho po zroszonej trawie. Montanelli pozostał sam pod magnolią, patrząc wprost przed siebie w ciemność.

— Pomsta Boża dosięgła mnie — pomyślał — jak dosięgła Dawida. Mnie, którym brał Ciało Pana mego w skalane grzechem ręce. Pan był długo cierpliwy, ale teraz skończyło się: „Bo uczyniłeś to potajemnie, ale ja sprawię to w obliczu całego Izraela, i dziecię, zrodzone z ciebie, umrze!”

ROZDZIAŁ II.

Pan James Burton nie rad był projektowanej „włóczędze po Szwajcaryi” swego przyrodniego brata z Montanelli'm. Ale zakazać wyraźnie takiej niewinnej, botanicznej wycieczki z poważnym profesorem teologii nie chciał; a to by Artur, który nic o przyczynach takiego zakazu nie wiedział, nie dopatrywał się w tem bezcelowej tyranii i despotyzmu. Przypisałby to matychmiast religijnym uprzedzeniom, a Burtonowie pyszniłi się swoją światłą tolerancją.

Była to rodzina zagorzałych protestantów i konserwatystów od czasu, gdy Burton i synowie, właściciele okrętowej firmy z Londynu i Leghornu rozpoczęli prowadzić we Włoszech interesa swoje przed stu laty. Uważali oni jednak, że angielscy dżentelmenowie powinni postępować przyzwoicie nawet z papistami, i gdy szef firmy, któremu sprzykrzyło się

wdowieństwo, ożenił się z ładną katoliczką, guwernantką swych młodszych dzieci, dwaj starsi synowie, James i Tomasz, aczkolwiek wielce przykrą była im obecność w domu macochy, nie wiele co starszej od nich, zgodzili się z posępną rezygnacją z wolą Opatrzności. Po śmierci ojca małżeństwo najstarszego brata utrudniło jeszcze bardziej i tak dość niemiłe położenie, aczkolwiek obaj bracia szczerze usiłowali bronić Gladys od napaści nietościwego języka Julii i wypełniać swoje obowiązki względem Artura. Nie udawali przywiązania, którego nie czuli, i wspaniałomyślność ich względem chłopca ograniczała się na tem, że mu nie żalowali pieniędzy i pozwalały mu robić, co mu się podobało.

To też w odpowiedzi na swój list Artur otrzymał czek na pokrycie wydatków i chłodne zapewnienie, że może spędzić wakacje, jak uważa za stosowne. Artur wydał połowę zaoszczędzonej gotówki; na botaniczne książki i zieleniki i puścił się z Montanelli'm w swą pierwszą, alpejską podróż.

Montanelli był w tak dobrem usposobieniu, w jakim Artur oddawał go nie widział. Otrząsnawszy się z pierwszego wstrząśnienia rozmowy w ogrodzie, odzyskał duchową równowagę i spokojniej na całą tę sprawę patrzył. Artur był bardzo młody i niedoświadczony, postanowienia jego mogły uleść jeszcze jednej zmianie. Montanelli spodziewał się, że łagodne perswazyje i rozumowania sprowadzą go z niebezpiecznej ścieżki, na którą tylko co wszedł.

Mieli zamiar spędzić kilka dni w Genewie, ale na widok białych, pływających się w słońcu ulic, zapachanych turystami, Artur skrzywił się zlekka. Montanelli przyglądał mu się ze spokojnym uśmiechem.

— Nie podoba ci się tutaj, *carino*?

— Nie wiem, doprawdy. Ja to sobie tak inaczej wyobrażałem. Owszem, jezioro jest piękne i te góry mają malownicze zarysy.

Stali na wyspie Rousseau'a i chłopiec wskazał ręką na długą, szeroką linię sabaudzkiej strony.

— Ale miasto jest takie sztywne, wymuskane, i ma taki... taki protestancki, zadowolony z siebie wygląd. Nie; nie lubię go; przypomina mi Julię.

Montanelli zaśmiał się.

— Biedny chłopcze! To prawdziwa kłeska. Ale skorośmy przybyli jedynie dla rozrywki, więc nie potrzebujemy tu tkwić. Co powiesz na to, gdybyśmy tak przejechali się dzisiaj po jeziorze, a jutro od rana wybrali się w góry?

— Ależ, Padre, chciałeś tu przebiec czas jakiś zabawić?

— Mój drogi chłopcze, ja już to wszystko po kilkanaście razy widziałem. Jedynym celem moich wa-

kacji jest twoja przyjemność. Gdziebyś chciał pojechać?

— Jeżeli ci to wszystko jedno, mój ojcie, to chciałbym podążyć aż do źródła rzeki.

— Rhonu?

— Nie, Arwy; płynie tak szybko.

— Więc udamy się do Chamounix.

Całe popołudnie spędzili krążąc po jeziorze w żaglowej łódce. Piękne jezioro mniejsze wrażenie wywarło na Arturze, niż szara i błotnista Arwa. Wzrósł nad brzegiem Śródziemnego morza i przywykł do błękitów fali; ale szybki prąd rzeki miał dla niego nieprzeparty urok.

Wybrali się więc nazajutrz wczesnym rankiem do Chamounix. Artur był w doskonałym humorze, dopóki jechali żyzną doliną, ale gdy skręcili w wijącą się pomiędzy wysokimi, poszarpanemi; skalami drogę, spoważniał i zamilkł. Od St. Moritz szli już piechotą, zatrzymując się na noclegi w maleńkich górskich wioskach i znowu wędrując, gdzie im przyszła fantazja.

Artur był dziwnie wrażliwy na wpływ widoków przyrody i pierwszy wodospad, jaki ujrzał, wprawił go w niewysłowny zachwyt; ale gdy zbliżyli się ku śnieżnym szczytom, popadł w jakąś milczącą ekstazę, jakiej Montanelli nigdy wpięrow u niego nie widział. Rzecz było można, iż istnieje jakiś mistyczny związek pomiędzy nim a górami. Godziny całe leżał bez ruchu wśród ciemnych, sosnowych lasów, patrząc po przez wysokie, proste pnie na obłany słońcem świat błyszczących szczytów i nagich skał. Montanelli przyglądał mu się z rodzajem mętnej zazdrości.

— Powiedz mi, co widzisz, gdy tak patrzysz przed siebie bez końca? — rzekł pewnego dnia, odrywając wzrok do książki i przenosząc go na Artura, który leżał na mchu bez ruchu, patrząc szeroko rozwartymi oczyma w bezmiar błękitu i złota. Zboczyli z głównego gościńca na nocleg do cichej wioski w pobliżu wodospadów Diosaz i ponieważ słońce miało się już ku zachodowi, weszli na porośniętą sosnam; skałę, by przyjrzeć się alpejskiej gloryi zachodniej nad Mont Blanc'em.

Artur podniósł głowę i spojrział na Montanelli'ego wzrokiem pełnym podziwu i tajemniczości.

— Co widzę, Padre? Widzę olbrzymią białą postać w błękitnej szacie nie mającą początku ani końca. Widzę ją, jak czeka wiek za wiekiem na przyście Duchu Bożego. Widzę ją, jak przez zakopane szkła.

Montanelli westchnął.

— I ja widywałem niegdyś podobne rzeczy.

— A teraz nie widzisz ich już, mój ojcie?

— Nie i nigdy więcej nie zobaczę. Są one tu, wiem, ale nie mam dla nich oczu. Widzę coś zupełnie innego.

— Co widzisz, ojczu?

— Ja, *carino*? Widzę błękitne niebo i ośnieżony szczyt; to jest gdy spojrzę w górę. Ale tam w dole jest inaczej.

Wskazał na rozciągającą się przed nimi dolinę. Artur ukląkł i pochylił się nad brzegiem przepaści. Wysokie jodły, ciemne w zapadającym już mroku wieczora stały jak straża wzdłuż wązkiej brzegów rzeki. Nagle, słońce czerwone, jak rozżarzony węgiel, zapadło za zębaty górski szczyt i wraz z nim znikło życie i światło w dolinie, która przybrała jakiś ponury, widmowy wygląd. Prostopadłe, nagie szczyty zachodnich gór podobne się stały do zębów czającego się potwora, a podnoszące się z głębi doliny wierzchołki jodeł wyglądały jak tyleż najeżonych dziryków, podczas gdy w dole prąd wody huczał i wył, rozbijając się o ścianę skał z wściekłością wiecznotrwalej rozpaczy.

— Padre! — szepnął Artur stojąc — to istne piekło.

I wstrząsnął się cały.

— Nie, mój synu — odpowiedział Montanelli łagodnie — to tylko ludzka dusza.

— Chyba dusze tych, którzy żyją w ciemnościach i cieniach świata.

— Nie; dusze tych, których codziennie mijasz na ulicy.

Artur wdrygnął się i spojrział w dół. Biaława mgła błąkała się pomiędzy drzewami i opadała na rzekę melancholijnym welonem.

— Patrz, Padre — rzekł Artur nagle — ci, którzy żyli w ciemnościach, widzieli jednak wielkie światło.

I wskazał na wschodnie szczyty, gorejące jak żuźle w zachodniej łunie. Gdy światło to zgasło, Montanelli dotknął ramienia Artura:

— Pójdź, *carino*. Już ciemno, nie znajdziemy potem drogi.

— Trupem tu czuć — szepnął Artur, odwracając się od widmowych kształtów olbrzymiego śnieżnego szczytu, blade przeblyskującego w pomroce.

Zeszły ostrożnie, kierując się do wiejskiego domku, w którym mieli nocować.

Gdy Montanelli, przebrawszy się, wszedł do pokoju, w którym Artur czekał na niego przy nakrytym do wieczery stole, spostrzegł, że chłopiec otrząsnął się z ponurego nastroju i był jak przeobrażony.

— O! Padre! — zawołał — patrz tylko na tego psa. Jaki on zabawny! Jak tańczy na tylnych łapach!

Był tak pochłonięty talentami psa, jak poprzednio widokiem alpejskich szczytów. Właścicielka domku tego, kobieta z czerwoną twarzą, stała obok w białym fartuchu, opierając ręce na biodrach i spoglądając z uśmiechem na sprzyncę, jakiej Artur z psem wyprawiał.

— Widać, że to jeszcze pstro w głównie być musi, skoro mu się takich figlów zachciewa — rzekła do swojej córki w narzeczu. — A jaki ładny chłopiec!

Artur zaczerwienił się, jak pensjonarka, a kobieta, widząc, że zrozumiał, odeszła śmiejąc się z jego pomieszania. Przy kolacji rozmawiał tylko o wycieczkach i botanizowaniu, zającąc z największym apetytem.

Dalszy ciąg nastąpi.



Zwierciadło polskie.

Nakładem księgarni L. Fiszera wyszło „Zwierciadło polskie”, pismo zbiorowe — z inicjałem na okładce, orłem czwartaków. Pod tę chorągiew rycerną zaciągnęli się: p. Ludwik Abramowicz, który analizuje psychikę naszej „Ugody”, Zuzanna Rabska w dwóch sonetach „Belweder” i „Przed białym domem” maluje nastroje serc powstańczych, a znany i ceniony poeta p. Edward Słoiński w noweli „Dzieci” pokazuje nam dusze nas wszystkich, dla których książka polska stawała się synonimem utraconego raju — wolnej od rosyjan ojczyzny. Szereg obrazków z walk legionowych, legiony polskie we współczesnej beletrystyce niemieckiej oraz słynna odezwa archimandryty pozajawskiej ławy do zabłąkanych braci polaków i wspomnienia z pobytu rosyjan w Lwowie uzupełniają ten bardzo interesujący zeszyt „Zwierciadła polskiego”. Karykatury K. Markiewicza, rysunki Ferd. Ruszczyca i winiety p. K. Puryckiego artystycznie zdobią wydawnictwo. Szkoda tylko, że papier dano taki ciemny.

W czas burzy.

Nowele p. Wiktoryi Przeradzkiej są dziełem młodej a niewprawnej jeszcze ręki. Młodość i niewprawność otula je specjalnym urokiem. Trudno o nich powiedzieć coś konkretnego. Przyszłość może zgotować niespodziankę. W każdym razie warto, by autorka zaczęła używać znaki pisarskie. Dotychczas jest jej dostępna tylko pauza, a przecież mamy jeszcze przecinki, średniki, dwukropki. Stosunkowo najprawdźszą rzeczą jest ostatni obrazek w „Czas burzy”. Uczucia sanitaryzki na widok kozaka ranego oddane są plastycznie i z dużą godnością. Są one sympatyczne i stanowczo ciekawsze od filozofii p. Błażeja Miłozza i całego tego rewolucyjno-arty-

stycznego środowiska, w którym przebywa Justa. P. Przeradzka ładnie też odczuwa przyrodę i umie dać uczuciom swoim wyraz.

Kalendarz Rolniczy.

Na rok 1916 pod redakcją M. Rozańskiego wyszedł „Kalendarz Rolniczy”. W kalendarzu tym podano cały szereg praktycznych informacji, które doskonale służyć mogą jaknajszerszym warstwom naszych gospodarzy rolnych.

Myśl i Dusza.

P. Kazimierz Kosiński, jak widać z dopisku na okładce, jest autorem ośmiu książek poetyckich. „Mojżesz”, „Śmierć”, „Hiob”, „Król Jagiello”, „Warneńczyk”, „Pieśń nad Pieśniami”, „Chrystus” oraz „Tomasz à Kempis” — oto tytuły jego dzieł. Obecnie wydał „Myśl i Duszę”, zbiór wierszy o nastroju dydaktycznym. Na tomik ten składają się wiersze: Apollo, Ecce Homo, Pieśń niedoli, Modlitwa, Pieśń radosna, Pieśń tęsknoty, Smutna jest dusza moja i Hymny śród nocy. O wierszach tych niewiele można powiedzieć. W każdym razie nie są one podobne do wersyfikacyjnych wyrobów, szanujących końcówkę. P. Kosiński bowiem pisze wiersze filozoficzno-metafizyczne, a więc chodzi mu przedewszystkiem o to, że „nie z jakiegoś bożego rozkazu, nie jakimś — Stań się — jednym z bożej mocy, lecz wzeszedł człowiek, jako drzewo w boru. Siłą li pędu swoistą naturą”. (Str. 19). Takie wierszowane wyurzenie p. Kosińskiego napewno nie chwyci artystycznie nikogo za serce, nie rozegra się w pieśni prostej uczuciowości. Zresztą metafizyczne swoje koncepcje przeżywał p. Kosiński w Paryżu przy ulicy des Beaux-Arts, w Pornic nad Oceanem i w Przedborzu, co pod każdym wierszem notuje, by ułatwić krytyce orientację. Wielu zwolenników „Myśl i Dusza” p. Kosińskiego nie znajduje.

Pierwsze Zasady Psychologii.

Prof. Julian Ochorowicz wydał bardzo praktyczny podręcznik p. t. „Pierwsze Zasady Psychologii”. Dotychczas tego rodzaju książki oryginalnej nie mieliśmy. Musiano się posługiwać przekładami. Praca jednak prof. Ochorowicza stoi znacznie wyżej od wielu tego rodzaju książek, gdyż wykazuje względność ludzkiego poznania. Prof. Ochorowicz w wstępie informuje: „Psychologia dzisiejsza przestała już być nauką jednostkową; jest dziełem pracy zbiorowej badaczy, ale na nieszczęście praca zbiorowa, laboratoryjna, wydała dotychczas tak liczne, ale też i tak rozbieżne spostrzeżenia, że nikt jeszcze nie pokusił się o ich uogólnienie i wcielenie w całokształt psychologii empirycznej. Żyjemy w okresie przejściowym, i psychologia dzisiejsza, chociaż już zatracca cechy indywidualne, przynajmniej metafizyczne, nie ma jeszcze cech nauki zbiorowej, przyrodniczej, tak wykończonych, jak fizyka lub chemia”. Podręcznik swój prof. Ochorowicz przetrząsnął jako pomoc dla samouków, dla uczących się w szkołach oraz dla wykładowców.

